



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: „BERLIN” PO LATACH

Niedawno wpadła mi w ręce książka angielskiego historyka T. L. Jarmana „The rise and fall of Nazi Germany”, ujmująca w przystępny i prosty, (choć czasem podejrzanie zawikłany) sposób całokształt zagadnienia niemieckiego faszyzmu. W rozdziale zatytułowanym „Poland - and War” Jarman przytacza między innymi następujący fakt:

3 września 1939 roku w Kancelarii Rzeszy Hitler wysłuchał ultimatum Wielkiej Brytanii stwierdzającego, że jeśli Niemcy będą nadal kontynuowały agresję wobec Polski, Wielka Brytania wchodzi z nimi w stan wojny począwszy od godziny 11 dnia bieżącego. Naoczni świadkowie zeznali, że gdy tłumacz skończy czytać tekst ultimatum, wśród obecnych, przy tym dostojników hitlerowskich zapanowało głucho milczenie. Hitler siedział i nieruchomo patrzył przed siebie. Po długiej chwili skierował chmurne spojrzenie na Ribbentropa i zapytał: „Co teraz?” Po raz pierwszy w swej karierze zaniemówił znajdujący się w przyległym pokoju Goebbels. Natomiast Göring miał oświadczyć: „Jeśli przegramy tę wojnę, niech Bóg ma nas w swej opiece!”

W kilka dni później, po błyskawicznych sukcesjach niemieckiej armii, Göring prawdopodobnie zapomniał o słowach wypowiedzianych pod wrażeniem znamiennej chwili, jednak obrót wojny dowiódł, że pierwsze przeczucie marszałka było niepłonne. Kto też zaręczy, że nie przypomniał sobie wypowiedzianego przed laty zdania, kiedy na wypalonych domach berlińskich przedmieść zaczęły się pojawiać pierwsze niezdarne napisy: „My przisli w Berlin”?

W ten sposób zamyka się jeden z licznych łańcuchów zdarzeń i faktów II wojny światowej. I choć przytoczone powyżej słowa Göringa znajdują potwierdzenie tylko w pamięci ludzkiej, której zawsze można zarzucić ułomność, nie może być wątpliwości, co do treści wydrapanego na murze napisu; zarejestrowała go kamera filmowa frontowego operatora. W kilka dni później obiektyw aparatu filmowego miał jeszcze wychwycić historyczny moment zatknięcia czerwonego sztandaru na Bramie Brandenburskiej, a potem podpis składany ręką feldmarszałka Keitla pod aktem bezwarunkowej kapitulacji Niemiec. Zdjęcia ukazały się w kronikach filmowych całego świata.

Wkrótce, z taśm filmowych, nakręconych podczas ostatnich miesięcy wojny, z pierwszych przechwyconych przez zwycięską armię kronik niemieckich, powstał wielki dokument filmowy zamykający w sobie ostatni akt pięcioletniej wojny - radziecki reżyser Julij Rajzman zmontował „Berlin”. Z podobnego typu filmami publiczność kinowa świata spotykała się już przedtem, ale „Berlin” stanowił pozycję szczególną w kinematografii. Nie tylko ze względu na swą ważność historyczną. Zamykał okres kronikarski. Wraz z ostatnią sekwencją „Berlina” miał się rozpocząć dla kina dokumentalnego czas sumowania faktów, dokonywania analiz i wyciągania wniosków. Robiona „na gorąco” kronika miała ustąpić miejsca publicystyce.

Potem „Berlin” na długie lata zniknął z ekranów. Zastąpiły go „dokumentalno-fabularne” dzieła epickie w rodzaju „Upadku Berlina” Michaiła Cziaurelego i „Bitwy Stalingradzkiej” Władimira Pietrowa. W latach pięćdziesiątych przyszedł czas na „dokumenty” tworzone z chłodnym obiektywizmem, powstające w warunkach, kiedy nie trzeba się już było liczyć z czasem, wykorzystujące bogate zasoby uporządkowanych z biegiem lat archiwów filmowych, w swej warstwie historycznej opierające się na pracach licznych historyków wojny i polityków: szwedzki reżyser Erwin Leiser stworzył „Mein Kampf”, „Życie Adolfa Hitlera” było dziełem reżysera angielskiego Paula Rothy. Obydwa filmy próbują też rozwickłać problem genezy i rozwoju ideologii faszystów, mają zacięcie historiozoficzne. Wreszcie, w 1965 roku powstaje film, który niejako sumuje prawie wszystkie dotychczasowe doświadczenia tego gatunku, a zarazem staje się swoistym novum: jest to „Zwyczajny faszyzm” radzieckiego reżysera Michaiła Romma. Rozumowa, a zarazem głęboka, zaangażowana wypowiedź nowoczesnego publicyisty, w sposób bezwzględny i bez niedomówień rozprawiającego się z faszyzmem.

Podczas ostatnich Dni Filmu Radzieckiego mogliśmy obejrzeć dwa wznowienia: „Zwyczajny faszyzm” i „Berlin”. Dzieli je dwudziestoletni okres, nie tylko czasowy. Ale może właśnie, dlatego film Rajzmana posiada dla nas dzisiaj szczególne znaczenie. Jeśli nawet „Berlin” irytuje chwilami swymi niedociągnięciami formalnymi, brakami w konstrukcji dramatycznej, to równocześnie w jakże sugestywny sposób - bo najprostszy, subiektywny, niewyspekulowany - przypomina najważniejsze wydarzenia sprzed dwudziestu trzech lat. Nie wiem jak odbiera „Berlin” najmłodsze pokolenie. Może nuży je bezustanna nawała ognia artyleryjskiego i dziwnie brzmią z ekranu dość górnolotne słowa młodej „riegulirowszczycy” sprzed Bramy Brandenburskiej - z prawdziwym wzruszeniem i ze zrozumieniem odbierają to tylko ci, którzy pamiętają atmosferę maja 1945 roku,